

SERIA TRUE CRIME

RYAN GREEN

ZABIĆ  
WSZYSTKICH

 WIELKA LITERA

379

[fragment książki](#)



# Zaginiony na morzu

Carl pragnął go, jeszcze zanim zdążył sobie uświadomić dlaczego. W barach Nowego Jorku co wieczór pojawiało się wielu marynarzy i długo można by mówić o tym, jak czarujący bywa mężczyzna w mundurze. Sam mundur był dla Carla na tyle atrakcyjny, by na przestrzeni lat mężczyzna ulegał pokusie podejmowania złych decyzji; jednak nic z tego nie miało znaczenia, kiedy dostrzegł ów buńczuczny uśmiech i pewny siebie krok w przeciwnym końcu sali. Ten mały gnojek myślał, że jest królem świata. Sądził, że wyprasowany mundur i dołek w brodzie dają mu prawo do tego, by czuć się tu jak u siebie, do tego, by wierzyć, że będzie żył wiecznie i że jest szczytem marzeń każdego mężczyzny, kobiety i dziecka, z jakimi zetknął go los. Na przestrzeni lat Carl spotykał wielu takich mężczyzn. Każdego był w stanie w końcu złamać – to była tylko kwestia czasu.

Na całym świecie nie było słodszy dźwięku niż ten cichy, zwierzęcy jęk, jaki z siebie wydawali, kiedy

pryskały ich wszelkie złudzenia na temat świata. Kiedy docierało do nich, że tę cienką fasadę cywilizacji można bardzo łatwo zerwać, i gdy ukazywała się wówczas brutalna prawda. Carl uwielbiał ich edukować. Tych wszystkich młodych, napuszonych, prawych obywateli, którym się wydawało, że od świata powinni dostać coś więcej, niż ból. Uwielbiał być przy tym, kiedy uświadamiali sobie, że istnieje siła potężniejsza niż ich własna. Siła, która chce, by cierpieli.

Oczywiście Carl miał już na tyle doświadczenia, by nie dać po sobie poznać, że interesuje się tym nowym chłopcem. Jeśli będzie zbyt napalony, oni wystraszą się i pognają co tchu, z podkulonymi ogonami, do swoich koszar. Musiał ich trochę pokokietować, zaczekać, aż porządnie się napiją, i zastanowić się, jak silnej presji trzeba będzie użyć, by przekonać ich do opuszczenia z nim lokalu. Jeśli, tak jak on, pochodzili z biednych środowisk, sprawa była prosta – wystarczyło pomachać im przed nosem gotówką i zwrócić się o pomoc na łodzi. Ubogich chłopców najłatwiej było namierzyć – przywiązywali dużą wagę do utrzymywania w dobrym stanie butów, aby móc tańczyć, jak należy.

Oprócz chłopców, którym – by ich mieć – wystarczyło zaszpanować zielonymi, wśród marynarzy było też wielu zboków chętnych, by do niego dołączyć za nic

innego, jak obietnicę kryjącą się za jego drapieżnym uśmiechem. Takich lubił najbardziej; mieli najwięcej do stracenia, gdyby światło dzienne ujrzał chociaż strzępek informacji o tym, co planował im zrobić. Co prawda, nie miałyby najmniejszych skrępowań, by mierzyć tą samą miarą wszystkich, których zgwałcił na swojej łodzi, ale akurat ci nie mogliby nawet udawać, że to kłamstwo. Prędzej zaprzeczyliby, że w ogóle z nim poszli, niż przyznali się do tego, że lubili być posuwani w dupę. Kiedy już z takimi kończył, mógł puścić ich wolno, gdyby chciał. Co jednak nie oznacza, że kiedykolwiek chciał.

Tych z drugiej kategorii trudniej było przyprzeć do muru, ale kiedy już Carlowi się to udawało, miał tym większą satysfakcję. Buńczuczni chłopcy, tacy jak ten, który właśnie wszedł. Należało nasaczyć ich alkoholem, podpompować ich ego, trochę się do nich powdzięczyć. Trzeba się było mocno nagimnastykować, by przekonali się, że w ich najlepszym interesie leży przyjsie do niego na cały dzień żeglowania. Dzień na prywatnym jachcie w czasie przepustki, z możliwością zarobienia jakiejś sumki na bieżące wydatki, dzięki którym uprzyjemnią sobie pozostały czas na lądzie. Carl przedstawiał im to w kategoriach jakiejś imprezy, opowiadając, że prawie w ogóle nie będzie żeglowania,

za to będą rozwiązły kobiety i lejąca się strumieniami gorzała. Na jego łódce owszem, lała się gorzała, ale jedynymi kobietami były te, jakimi zrobił tych chłopców, dociskając ich twarze do twardej ławy w kajucie, podczas gdy oni skamleli, wołając swoje matki.

Pomimo że Carl pragnął tego nowego marynarza, to czynnikiem decydującym było tu nie tyle pożądanie, co łut szczęścia. Kiedy zespół przestał grać, a ómy barowe zaczęły łączyć się w pary, postanowił spróbować chłopaka uwieść, by przy odrobinie szczęścia wrócić z nim na Akistę. Zamierzał sprzedać mu kłamstwo o konieczności dokonania napraw na łodzi lub pomocy przy żeglowaniu i imprezowaniu. Postanowił też, że jeśli chłopak będzie oporny na ten pomysł lub jeśli zaistnieje ryzyko, że może stwarzać więcej problemów, niż to wszystko warte, po prostu uderzy od razu do następnego. W tych barach ledwo dało się poruszać w tłumie marynarzy na przepustce. Nie zapowiadało się, by Carl mógł mieć problemy ze znalezieniem przynajmniej jednego chłopaka, który przypadnie mu do gustu, a jednocześnie okaże się na tyle głupi, by dać się nabrać na jego gadkę.

Zapadała noc, alkohol wchodził gładko. Niewiele było w życiu Carla rzeczy, które naprawdę go cieszyły, a nie były tylko znośne; whisky zajmowała wśród nich

drugie miejsce. Zatem tego wieczoru, podobnie jak przez większość wieczorów, Carl próbował dobrze się bawić, na tyle, na ile było to fizycznie możliwe bez uszczerbku dla jego dalszych planów. Tak w zasadzie, to bełkocząc, stałby się jeszcze bardziej wiarygodny w roli szastającego szmałem durnia, który chce przebawiać życie. Kto mógłby się spodziewać, że zostanie przechytrzony przez pijaka. Carl często bazował na fakcie, że ktoś nie docenił jego możliwości. Odgrywał rolę głupka, a ludzie nie zdawali sobie sprawy, że właśnie ich przechytrzył.

Przez całe życie starał się być po prostu niezauważony. Kulił ramiona, by wyglądać na mniejszego. Uśmiechał się niewzruszony, kiedy inni go obrażali, myśląc, że i tak nic nie rozumie. Tymczasem on znał tajemnice, jakie skrywał świat. Nie czuł potrzeby, by zwracać na siebie uwagę. Takie pompowanie swojego ego przyniosłoby tylko kłopoty. A to zależało od Carla. Przecinał życie niczym rekin morskie głębiny, nie zostawiając na powierzchni najdrobniejszej zmarszczki.

Oplacało się. W końcu do Carla podszedł chłopak i bez zaproszenia usadowił się na stołku obok. Pomiedzy jedną a drugą szklaneczką Carl bacznie obserwował co delikatniejszych marynarzy – tego, który zmierzył go od stóp do głów drapieźnym spojrzeniem, i tego,

którego mundur był tak wypiełgnowany, że zaczynał się już strzepić na mankietach. Obaj byli łatwym celem i spokojnie mógłby się nimi zadowolić, jeśliby mu się nie poszczęściło. Ale dziś, jak nigdy, wszystkie działające gdzieś w tle, niezbadane siły chaosu zdawały się być po jego stronie.

– Słyszałem, że poszukuje pan kogoś na jutro do pomocy na łodzi. Kogoś z odrobiną doświadczenia.

Carl usiłował powstrzymać się od śmiechu, słuchając, jak ten gołolicy kretyn próbuje uchodzić za starego, doświadczonego żeglarza.

– Tamci dwaj to dobre chłopaki i tylko Bóg wie, jak Tony’emu przydałaby się ta kasa. Ale z tego, co słyszałem, potrzebuje pan kogoś z odrobiną klasy. Kupił pan sobie jacht, a nie jakiegoś bączka, więc potrzebny jest ktoś, kto wie nie tylko to, jak należy ciągnąć za sznurki, ale też jak się zachować przy gościach. Te chłopaki... Kocham ich szczerze i wiem, że potrafiliby poprowadzić pański jacht z niezłą prędkością, ale niechby pan spróbował pokazać ich w towarzystwie! Natychmiast zapomną języka w gębie. Narobią panu wstydu przy pańskich wytwornych znajomych.

Carl westchnął i pociągnął whisky ze szklaneczki, maskując tym pojawiający się na jego twarzy uśmiech.

– Dzięki za ostrzeżenie, dzieciaku. Chyba się jeszcze porozglądam – odparł.

– Nie ma potrzeby, kolego. Mam dla pana odpowiedniego żeglarza. Siedzi tutaj.

Carl wymownie skierował wzrok gdzieś poza chłopaka tylko po to, by sprawdzić, na ile może się z nim podroczyć, ale w tym przypadku chodziło również o to, by pokazać, że to Carl jest tu idiotą, a nie tamten.

– Nie, chłopie. Chodzi o mnie. Chce pan zatrudnić mnie, bym poprowadził pańską łódź.

Carlowi nieczęsto trafiał się ktoś, kto by aż tak prosił się o śmierć.

– No nie wiem. Tamci wyglądają tak, jakby spędzili na morzu dużo więcej czasu, niż ty.

– Stary, ale prawda jest taka, że jedyne, czym mogą się pochwalić, to znajomością parowców. Gdyby wsadzić ich na żaglówkę, nie odróżniliby grota od steru. A ja? Ja żeglowałem na prawdziwych statkach, nawet kiedy jeszcze byłem zbyt młody, by sikać za burzę.

Przez twarz Carla przemknął cień uśmiechu.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Na moich dłoniach więcej było pięknych otarć od lin, niż oni zjedli gorących kolacji. Więc



jeśli chce pan mieć na swoim jachcie prawdziwego marynarza, polecam się.

Carl wychylił resztę whisky i uśmiechnął się szeroko, czując, jak alkohol pali go w przełyku.

– No dobrze, chłopcze, w takim razie bierz swoją kurtkę.

– Serio, proszę pana? – upewnił się jeszcze arogantki mały gnojek z zachwytem na twarzy.

Carl poczuł dreszcz. Będzie się teraz rozkoszował każdą chwilą. Wycisnie z tego chłopaka szczęście do cna, dopóki nie zostanie już nic poza bólem. A potem sprawi, że ten ból będzie wydawał się łagodną reprimendą. Uśmiechnął się i odparł:

– Mam na łodzi butelkę dobrego trunku i wolną kajutę, w której będziesz mógł odespać, żeby być gotowym na jutro. Co ty na to?

– Brzmi nieźle, proszę pana. Tylko wezmę swoje rzeczy.

Carl położył mu rękę na karku i przytrzymał go w swoim żelaznym uścisku. Kiedy dostrzegł w pijackim upojeniu chłopaka cień zakłopotania, przyciągnął młodego do siebie i wyszeptał mu do ucha:

– Najlepiej nie mów o tym swoim kumplom. Nie chcemy, by się zdenerwowali, że wybrałem ciebie, a nie ich.

– Ma pan rację. Nie chcę psuć im humoru.

Carl poluzował uścisk, po czym zsunął rękę i poklepał marynarza po plecach.

– W takim razie widzimy się przed wejściem – powiedział.

W mrokach ulicy, ze znajdujących się tam licznych barów i klubów, wciąż dobiegały dźwięki muzyki. Carl snuł się, bezskutecznie usiłując wyłapać z tej kakofonii choćby jedną melodię. Przez okno ze źle spasowanymi okiennicami przezierało światło; padło na jego wymizerowaną, chłodną twarz, na której ciężko było dopatrzeć się choćby śladu emocji. Chłopak z baru dogonił go, wołając:

– Hej, niech pan zaczeka!

– Nie poszedłbym bez ciebie, dzieciaku. Spokojna głowa.

Chłopak pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu skrepta. Carlowi nie sprawiło nawet zbytniej przyjemności oślepienie go błyskiem zaoferowanego mu natychmiast ognia. W tej krótkiej chwili zaskoczenia dzieciak wyglądał tak młodo i niewinnie, że mało brakowało, a Carl pchnąłby go do rynsztoka i wziął natychmiast, tu i teraz, porzucając całą swoją misterną, skrzętnie zaplanowaną intrygę tylko po to, by wcześniej doświadczyć tej idealnej chwili rozpaczy. Nie zrobił

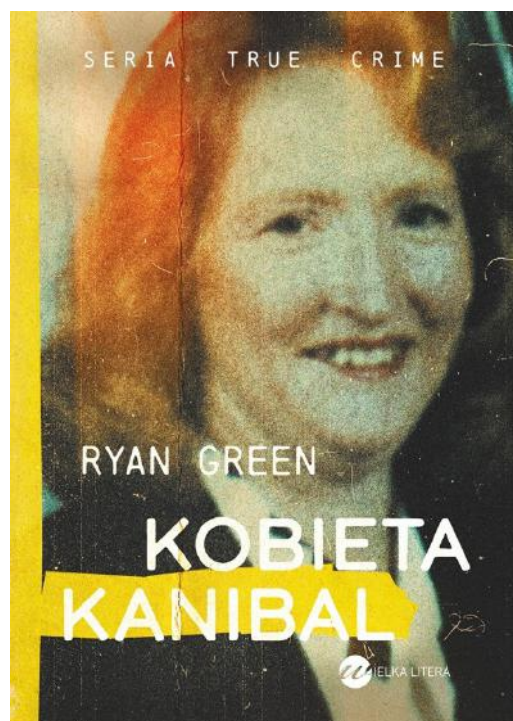
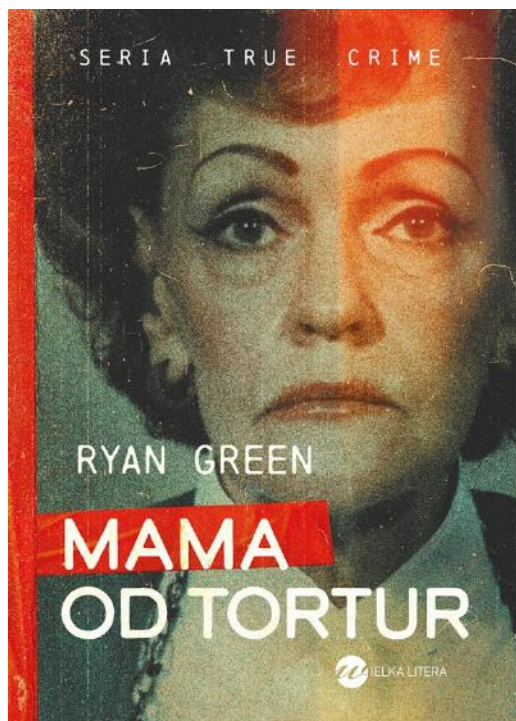
tego, ponieważ impulsywność przysporzyła mu swego czasu już wystarczająco dużo problemów, jednak pokuśsa była duża.

Objął marynarza ramieniem i ostrożnie powiódł go wybrukowaną ulicą, z dala od wścibskich oczu i różnych przeszkadzaczy. Na łodzi czekało na chłopaka jeszcze więcej whisky, dużo lepszej niż ta berbelucha, jaką sprzedawali w barze. To wystarczająca gościna, by gnojek miał u niego dług wdzięczności. A kiedy już będzie milusi i zmiękczony, Carl zrobi mu tę jedyną na świecie rzecz, którą ukochał bardziej niż whisky. Zrobi to, zaciskając mocno palce na gardle tego bezużytecznego małego sukinkota.

A rano Akista wyjdzie z portu, tak jak Carl zapowiedział w barze. Tu nie było żadnego oszustwa. Nie zgadzało się jedynie to, kto stanie u steru i jaki to będzie rejs. Ten marynarzyk poleży w ładowni na dole, by jego woń nie drażniła nosa Carla, a portem docelowym będzie ulubione zwałowisko, gdzie lądowali wszyscy zgwałceni i obrabowani przez Carla marynarze. Nigdy nie zadawał sobie trudu, by spamiętać ich imiona. Wszak żaden z nich nie przetrwał dłużej niż jedną noc.



Mogą zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)  
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)

